

TEATR *ma* MOC

„JESTEM W STANIE INKUBACJI
ŚWIATOPOGLĄDOWEJ”
– *mówi Monika Strzepka,*
JEDNA Z WAŻNIEJSZYCH REŻYSEREK
TEATRALNYCH. WSPÓLNIE Z PAWŁEM
DEMIRSKIM, DRAMATURGIEM, ROBIĄ
PRZEDSTAWIENIA NAGRADZANE
W CAŁEJ POLSCE, M.IN. „BYŁ SOBIE
POLAK, POLAK, POLAK I DIABEŁ”,
„POŁOŻNICE ZE SZPITALA ŚW. ZOFII”
CZY „COURTNEY LOVE”. SPOTYKAMY
SIĘ MIĘDZY UKOŃCZONYM
PRZEZ NICH SPEKTAKLEM WE
WROCŁAWIU A PRACĄ W KRAKOWIE.
MÓWIMY O POTRZEBIE ROZMOWY,
ŚWIADOMOŚCI, DOTYKU.

Rozmawia IZA KLEMENTOWSKA
Zdjęcia RADOSŁAW KAŻMIERCZAK

Chwilowy spadek formy czy reakcja na pogodę?

Od protestu środowiska teatralnego sprzed roku – „Teatr nie jest produktem, widz nie jest klientem” – jest we mnie jakieś zniechęcenie. Bo nic to nie dało. Poza tym, że dolnośląscy dyrektorzy teatrów zostali na stanowiskach.

Przypomnijmy, że protest dotyczył decyzji Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego o zastąpieniu dyrektorów teatrów menedżerami ze świata biznesu. Chodziło również o zmniejszanie dotacji na działalność teatrów w Polsce. Od tamtej pory nie wierzę w jakiejkolwiek formy protestu.

A masz takie poczucie, że teatr, który tworzysz wspólnie z Pawłem Demirskim, jest zaangażowany społecznie?

No, tak się mówi. Pracujemy ze sobą od siedmiu lat, oczywiście, nasze pierwsze spektakle były zupełnie inne niż obecne. Ale chyba ciągle można powiedzieć, że to teatr społeczny.

W „Był sobie Polak, Polak, Polak i diabeł” obnażyliście polskie kompleksy, „Tęczowa trybuna 2012” poruszała problem kibiców gejów, „Położnice szpitala św. Zofii” mówiła o rodzeniu po ludzku, „W imię Jakuba S.” o chłopskim pochodzeniu... Kiedy zaczynaliśmy, wiedzieliśmy, że nie chcemy robić teatru, który dominował w naszym kraju, czyli estetyzującego, ale niemającego nic wspólnego z otaczającą nas rzeczywistością. Wiedzieliśmy, że na pewno chcemy robić teatr, który będzie na nią wpływał. Bo teatr może być takim miejscem.

Tylko niewiele osób może to zobaczyć – jak dużo ludzi chodzi do teatru?

To rzeczywiście jest niewielka liczba. Ale pamiętajmy, że teatr może wpływać również na tych, którzy czytają recenzje.

Których coraz mniej...

Niestety, jeśli już ukazuje się recenzja ze spektaklu, to przypomina raczej podpis pod zdjęciem. Dlatego jedynym ratunkiem dla teatru będzie wychodzenie poza przestrzeń zarezerwowaną dla działów kultury w gazetach. Wydaje mi się, że w niewielkim stopniu nam się to udało. Choćby z „Tęczową trybuną...” czy „W imię Jakuba S.”.

Pisano o problemach poruszanych przez was również na stronach poświęcanych sprawom społecznym. Teatr ma moc? Tak i warto za jego pomocą instalować w debacie publicznej inny punkt widzenia niż te, z którymi na co dzień obcujemy. Jak radio, które puszcza wciąż te same piosenki w przekonaniu, że spodoba się tylko to, co publiczność już zna. O telewizji się nie wypowiadam, bo kultywując rodzinną tradycję, wyrzuciłam telewizor przez okno.

Bez telewizora lepiej?

Lepiej. Śmiejemy się z Pawłem, że jesteśmy w stanie inkubacji światopoglądowej. Wiemy, że światopogląd nie może być trwały i niezmienny, bo obrastamy w lata, doświadczenia, jesteśmy rodzicami. Po zeszłorocznym proteście doszło do tego, że zaczęłam zadawać sobie pytanie, czy dalej chcę robić teatr.

Aż do tego stopnia?

No, niestety. Oczywiście zdajemy sobie z Pawłem sprawę, że nie mamy prawa narzekać, że w sytuacji, kiedy pieniądze na kulturę są ścinane rok w rok o kilkanaście procent, artystowskie pytanie: „Czy ja jeszcze chcę robić teatr”, brzmi jak herezja. Ludzie nie mają co jeść, a my od kilku lat mamy świetny zawodowo czas, sporo propozycji, dostaliśmy chyba wszystkie możliwe polskie nagrody teatralne. Więc zapieprzaliśmy przez ostatnie dwa lata właściwie bez przerwy. No i ostatecznie zajęliśmy się pracą.

I przyszedł kryzys?

Nazwałabym to kryzysem egzystencjalnym. Z tego zresztą wziął się spektakl „Courtney Love”. Tylko że kiedy mówiliśmy w wywiadach, że sztuka powstała z kryzysu, pisano, że to widać, bo wiele w niej chaosu. Wkurwiłam się, czytając te słowa, bo akurat „Courtney Love” jest jednym z lepszych przedstawień, jakie zrobiliśmy.

W spektaklu – jak przeczytałam w jednej z recenzji – „jest satyra na pokolenie dawnej publiczności punkowych koncertów, dzisiejszych dorobkiewiczów, którzy na wielkich muzycznych festiwalach, po kolana w błocie i z bigosem na plastikowej tacce, próbują znaleźć namiastkę dawnych przeżyć”.

I jednocześnie jest też trochę ucieczką od tego, do czego przyzwyczailiśmy publiczność. Chociaż ona ten spektakl uwielbia prawdopodobnie dlatego, że widzi spektakl, a recenzenci szukają podobieństw do tego, co już znają. Pisali na przykład, że spuściliśmy z tonu, bo nie ma już tak ulubionych przez nich szlagwortów, którymi mogliby sypać jak z rękawa na środowiskowych balangach.

Ale w zmianie chyba siła?

Oczywiście. Kompletnie nie dostrzegają wartości w zmianie. To w ogóle powinno być hasło ministerstwa edukacji, ministerstwa kultury, no i chyba jeszcze ministerstwa zdrowia, że życie jest nieustającym procesem i poszukiwaniem. Bo nagle okazało się, że przez te kilka lat stworzył się model uprawianej przez nas sztuki i że przy tym powinniśmy pozostać, żeby zadowolić recenzentów, bo oni już się zdążyli przyzwyczaić. Przecież to bzdura! Dla mnie tradycja jest urodzajną glebą, na której wyrastają nowe rzeczy. I trzeba jedynie stwarzać

odpowiednie warunki, żeby te nowe rzeczy mogły rzeczywiście wyrastać.

Teatr może na tym jedynie zyskać.

Tak, dam ci przykład. Teatry, które wystawiają nowe polskie teksty i sztuki, mogą dostać refundację kosztów z ministerstwa w ramach Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej. Jeszcze w latach 90. nie mieliśmy w ogóle nowych polskich sztuk, dramatopisarzy. I teraz dzięki temu konkursowi już są i trzeba stworzyć im takie warunki, żeby mogli pisać. Rola państwa w finansowaniu kultury powinna być sprawą normalną, a nie podlegającą jakimkolwiek dyskusjom w rodzaju, czy państwo ma wspierać kulturę. Oczywiście, że powinno!

To debatować czy nie debatować?

Działać, a nie debatować! U nas w zasadzie nie istnieje coś takiego jak polityka kulturalna państwa. We Francji jeśli zamyka się bibliotekę, ludzie w reakcji na to wychodzą na ulicę. U nas nie do pomyślenia. Bo okazuje się, że trzy czwarte Polaków nie interesuje się kulturą. Nie potrafimy samodzielnie myśleć, bo nasz system edukacji wyłącza dzieciom mózgi. Można przecież wykuć materiał na blachę i zaliczyć w ten sposób nawet studia.

Czasem wydaje mi się, że to jest władzom na rękę. Bo po co jej obywatele, którzy się buntują? Człowiek nieświadomiony jest zależny od opinii innych. Również ekonomicznie – przecież my, Polacy, nie wiemy nawet, jak działa OFE.

I z tego być może również depresja ludzi?

Nie wszystko można zwać kryzys ekonomiczny. Zauważ, że prawie w ogóle nie istnieją relacje sąsiedzkie, nie komunikujemy się ze sobą – może poza Facebookiem, ale zrywy na nim trwają zazwyczaj dzień, dwa i po chwili wszyscy zapominają o sprawie. To jest zupełnie innego rodzaju emocjonalność, ta przed ekranem komputera. Martwi mnie to. Moje dziecko ma w tej chwili cztery lata i nie wiem, jakim będzie człowiekiem.

Nie spotyka się z rówieśnikami?

W przedszkolu. Tak zwane podwórko już nie istnieje. Trzepaki i piaskownice jeszcze są, ale dzieci brak. Siedzą w domach, przed komputerami. Poza tym w miejscach, gdzie kiedyś były podwórka, powstają parkingi i sklepy. Powoli, ale skutecznie pozbawia się nas miejsc publicznych. Ludzie przestali ze sobą rozmawiać.

Ty lubisz?

Bardzo. Mam taką potrzebę, którą w sobie pielęgnuję, że chcę pogadać w sklepie ze sprzedawczynią. Nie lubię czuć bariery pomiędzy sobą a inną, nawet obcą osobą. Wierzę, że człowiek żyje w stadzie i że ma naturalną potrzebę dotyku. Wiele badań mówi, że człowiek dotykany jest zdrowszy. I nie chodzi tu o jakieś doznania erotyczne, ale o zwykłe doznanie bliskości. I to również nam zabrano. Zresztą pracujemy tak dużo, że w zasadzie nie ma czasu na tzw. pierdoły. Czasem mam wrażenie, że naturalne potrzeby człowieka uśpiono i że wystarczy dać mu ➤

pieniądze, bo wtedy będzie wiedział, co zrobić – pójdzie na zakupy.

A co oglądałaś, gdy byłaś nastolatką?

W Tarnowie było kino o nazwie Marzenie, do którego ciągle biegałam. Uwielbiam polskie kino, choćby były to najbardziej mierne obrazy. Kiedy je oglądałam, czuję, że jestem Polką – nie jestem nacjonalistką kinematograficzną, ale kulturowo nasze filmy są mi po prostu najbliższe. W liceum w Krakowie zwariowałam, bo zdarzyło mi się, że nie chodziłam do szkoły, ponieważ akurat odbywały się festiwale filmów Herzoga i Bergmana. I żeby zdążyć czasami z jednego na drugi, chodziłam do kina z budzikiem. Czasem nie jadłam, bo pieniądze wydawałam na karnet na festiwal filmowy. Dziś nie mam na tyle czasu, żeby obejrzeć wszystko, co chcę.

Zawsze wiedziałaś, że chcesz pracować w teatrze?

Nie. Chodziłam co prawda do liceum o profilu teatralnym – ale najpierw zdawałam do szkoły filmowej. Teatr był ważny, jednak miałam wrażenie, że jest za trudny, wydawał mi się nieosiągalną magią, nie rozumiałam, jak się „to” robi. W liceum kochałam się w teatrze Lupy. Potem na studiach w warszawskiej szkole teatralnej oglądałam spektakle Krzysztofa Warlikowskiego i Grzegorza Jarzyny i dopiero wtedy zrozumiałam, czym jest teatr. Oczywiście, nie chcę dokonywać prostego wartościowania, co lepsze – czy film, czy teatr – ale ilość zmysłów i obszarów w mózgu, duszy i ciele, na jakie oddziałuje teatr, jest znacznie większa. To, że aktor gra dla mnie, że wykreowany jednego dnia świat jest wyjątkowy, bo następnego dnia będzie stworzony w inny sposób, wydawało mi się święte.

Długo pracujesz nad każdą sztuką?

To zależy od etapu, na jakim jesteśmy. Po rozpoczęciu prób pracuję w systemie 10.00–14.00 i 18.00–22.00. To jest niezbędne minimum, żeby wypróbować każdą ze scen przynajmniej raz w tygodniu. Zwykle ten czas między 14 a 18 też spędzam w teatrze, czasami ktoś mi przynosi obiad, bo nie mam czasu zjeść. W zasadzie mój dzień zaczyna się o 7.30 – bo odprowadzam Jeremiego do przedszkola, a kończy o pierwszej w nocy. Jestem straszną panikarą, zawsze mam wrażenie, że nie zdążymy z premierą. Poza tym muszę się jeszcze spotkać

ze scenografem, kompozytorem, choreografem, dyrektorem teatru, udzielić jakiegoś wywiadu. Wielokrotnie zdarzało się, że zwyczajnie nocowałam w teatrze. Dopiero przy okazji „Courtney Love” nie spałam tam, gdzie pracowałam. I to jest ogromny komfort. Również dla dziecka, które ciągle się z nami tuła. Zdaję sobie sprawę, że będzie z tym coraz większy problem, bo Jeremi zdążył już nawiązać przyjaźnię. Kiedy idzie do przedszkola, to zawsze zabiera dwa jabłuszka – jedno dla siebie, drugie dla Antosia, kolegi.

Zabieracie go ze sobą do teatru?

Na próby nie – za duże skupienie, ale na wznowieniowe spektakle – zdarza się. Na takiej próbie zawsze ktoś się dzieckiem zajmie. A jemu podoba się ten świat teatru. Mówi, że jest piękny.

A jak czujesz się dzień po premierze?

Zazwyczaj jestem tak bardzo zmęczona, że nie mam siły, by rozmawiać. Po premierze „Tęczowej trybuny...” siedziałam między ludźmi, ale jako takie zombi, które nie rozumie, co się do niego mówi. Mieszkaliśmy wtedy w teatrze, więc wsiadłam do windy i chciałam od razu zdjąć buty, ale zwyczajnie nie mogłam. Tak bardzo spuchły mi stopy. Kiedy Jeremiego nie było jeszcze na świecie, zazwyczaj odchorowywałam spektakl i leżałam w łóżku z grypą przez dwa tygodnie. Teraz po premierze rano odprowadzam go do przedszkola, więc wstaję z łóżka. Zamiast grypy przechodzę depresję, bo pewna aktywność zostaje nagle ucięta.

Pracujecie w różnych miastach – nie męczą cię te ciągłe przeprowadzki?

Trochę męczą. Człowiek potrzebuje choć trochę stabilizacji, szczególnie gdy ma małe dziecko. Teraz we Wrocławiu mamy mieszkanie, co prawda na kredyt, ale są w nim nasze książki, są cztery palniki w kuchence, wiem, gdzie stoi puszka z kawą, a gdzie olej. Zawsze miałam potrzebę osvajania przestrzeni, odwrotnie niż Paweł, który lubi mieć poczucie tymczasowości. Kiedy Jeremi był malutki, Paweł przyjeżdżał i rzucał na środek pokoju swój plecak i tylko wyciągał z niego kolejne rzeczy. Ale gdy syn podrośł, zaczął się o ten plecak potykać. Musieliśmy coś na to poradzić, choć wciąż czasem stawiamy plecak w pokoju – jak symbol.

MONIKA STRZĘPKA reżyserka teatralna; ur. w 1976 roku w podtarnowskim Tuchowie, absolwentka Akademii Teatralnej w Warszawie. Wspólnie z Pawłem Demirskim, dramaturg, tworzy spektakle teatralne nagradzane w całej Polsce. Za najważniejsze uważa się „Był sobie Polak, Polak, Polak i diabeł”, „Był sobie Andrzej Andrzej, Andrzej i Andrzej”, „Niech żyje wojna!!!”, „Położnice szpitala św. Zofii”, „Tęczowa trybuna 2012”, „W imię Jakuba S.”, „O dobru”, „Courtney Love”.

Nagrodzona m.in. Paszportem Polityki w 2011 roku i Laurem Konrada w 2013 r.